

Jak nas widzi UFO

Niedoskonałości są dla mnie najciekawsze – mówi **Mateusz Pakuła**, autor musicalu „Złote płyty” o misji NASA prezentującej ludzkość obcym cywilizacjom

JACEK CIEŚLAK

Czy po wielkim sukcesie książki i spektaklu „Jak nie zabiłem swojego ojca” – m.in. o śmierci ojca i eutanazji – znalazłeś uwolnienie od frudnych społecznie spraw, przygotowując musical o słynnej sondzie NASA, która leci przez kosmos od 1976 r.?

Nie wiem, czy znalazłem. Z jednej strony odczuwam presję, oczywiście. Z drugiej – staram się myśleć, że nie mam obowiązku niczego nikomu udowadniać ani spełniać żadnych oczekiwań. W każdym razie nigdy nie zrobię już takiego spektaklu jak poprzedni. Mam nadzieję.

Dwa lata temu zacząłem rozmawiać z dyrektorem Konradem Imielą o produkcji we wrocławskim Capitolu. Po premierze „Jak nie zabiłem...” miałem więc do napisania lekki, przyjemny, pełen muzyki scenariusz do „Złotych płyt”. Teraz, po całym roku eksploatacji „Jak nie zabiłem...”, po festiwalach i nagrodach, po bardzo angażującym emocjonalnie okresie, mogłem odetchnąć na próbach komediowego, czasem niemal farsowego, musicalu o kosmicznej komisji Carla Sagana. Bardzo mi to było potrzebne.

Sagan dostał zlecenie od NASA, by wybrać materiały na złote płyty, które polecą na sondach Voyager w kosmos i zaprezentują ludzkość obcym cywilizacjom. Kontynuujesz naukowe zainteresowania, a jednocześnie kpisz z antropocentryzmu: podkreślasz, że nasza planeta może być jedną z 5 milionów cywilizacji w 100 miliardach galaktyk. To zmienia proporcje w patrzeniu na nas samych.

O tak, trochę o tym zrobiłem „Pluton p-brane”, mój debiut reżyserski z Janem Peszkim w roli głównej. O proporcjach. I że można się w tym pogubić, zapaść się, popaść w zgrozę, oszaleć. Kiedy się spojrzy w pustkę albo w ogrom. One – jak wiemy – odwzajemniają spojrzenie.

Misja NASA z Voyagerami i dyskusja na temat tego, jak zaprezentować się w kosmosie innym cywilizacjom, pokazuje,



LUKASZ GIZA

Premiera musicalu „Złote płyty” w Teatrze Muzycznym Capitol Wrocław już 2 lutego

jak bardzo jesteśmy różni i że nie potrafimy się porozumieć. Zawsze musi dojść do walki zwalczających się plemion i cenzury, gdy nie wszyscy mogą zaakceptować to, co na obrazie „Pochodzenie świata”, przedstawiającą nagą kobietę z żabiej perspektywy, pokazał Courbet?

Myślę, że to jest – jak zwykle – spór o wartości. Bo fakty są takie, że mamy genitalia. I że nasz gatunek praktykuje przemoc. Również wobec członków własnego gatunku. Ale jedni będą uważać, że genitalia są faj i że tylko pod kołderką i po ślubie, a inaczej to grzech, a inni, że o przemocy własnego plemienia można mówić, tylko mitologizując ją i robiąc z przemocowców bohaterów.

Przygotowałeś spektakl muzyczny z kluczem czasowym – decydują przeboje z 1976 r., ale pozwoliłeś sobie też na żarty. Decydowały twoje upodobania muzyczne?

Większość muzyki w spektaklu to hity z okresu 1975–1976. Ale są wyjątki mające swoje mniej lub bardziej sensowne uzasadnienie. Wybrałem piosenki z tamtych lat, które są rewelacyjne, i takie, które mnie śmieją. Są też utwory, które miały być wysłane w kosmos lub zostały wysłane przez NASA.

Jednocześnie pokazujesz poprzez wybór piosenki The Beatles, że idole wolności mają swoje egoistyczne słabości niegodne głoszonych przez nich idealów?

No tak. Niedoskonałości są dla mnie najciekawsze. To jest, myślę, kluczowy temat tego spektaklu. Jak jesteśmy niedoskonalimi, jak próbujemy to ukryć – przed samymi sobą i przed sobą nawzajem – jacy jesteśmy w tym żałośni, śmieszni, ale też rozczulający, uroczy i godni współczucia.

Beatlesi natomiast towarzyszą mi w teatralnej drodze od czasu spektaklu „Wieloryb The Globe” z Krzysztofem Globiszem, gdzie kluczowy był utwór „With A Little Help From My Friends”. „Come Together” o Timothy Learym, góru dzieci kwiatów, stało się w moim spektaklu piosenką wprowadzającą Philipa K. Dicka w świat Stanisława Lema. Teraz „Here Comes The Sun” zderzam z „Imagine”.

Jak zwykle jedyną nadzieję daje miłość?

Oczywiście. Różne jej rodzaje. Miłość romantyczna, seks, miłość-przyjaźń i miłość do świata. Miłość do ludzkości jako bytu zbiorowego, bardzo niedoskonałego, ale przez to właśnie również wspaniałego. I miłość do świata jako całej poznanej i niepoznanej jeszcze rzeczywistości, do wszechświata jako czegoś niesamowitego, zachwycającego – przestrzeni do nieskończonej eksploracji.

Miłość to chemia, biologia, psychologia i socjologia. Oraz nasza wolna wola, decyzja. To potężne sensotwórcze narzędzie. Według mnie.

Twoja książka „Jak nie zabiłem swojego ojca” to zapis traumy związanej z chorobą i śmiercią taty, ale też wielki sukces spektaklu, który otrzymał wszystkie najważniejsze nagrody podjął temat eutanazji, ale również życia poza Kościołem. Jak podsumujesz te doświadczenia?

Cóż, to jest doświadczenie wspaniałe i strasznie smutne jednocześnie. Za każdym razem, kiedy spektakl zostaje doceniony, mocno odczuwam tę ambiwalencję.

Oczywiście cieszy mnie bardzo, że moja opowieść w tej formie działa, i to na bardzo głębokim poziomie, okazuje się jeszcze bardziej uniwersalna, niż sądziłem. Jest to manifest na rzecz legalności eutanazji, owszem, ale chyba przede wszystkim rozmowa o śmierci i umieraniu osób najbliższych, o towarzyszeniu w umieraniu, współumieraniu po prostu. O bezradności, wściekłości, czułości, niedoskonałości, brzydocie i pięknie, o całym tym tyglu, o emocjach i znajdowaniu sposobu na wyrażenie tego wszystkiego. O tym, że rodzina nie musi być tylko toksycznym bagniskiem. Że należy próbować się wyzwalać z religijności i poczucia winy. No więc spektakl jest znacznie bardziej niż książka „odsammatniający”. I dla odbiorców, i dla mnie. Książka odniosła spory sukces, ale dobra passa spektaklu przeszła moje najśmielsze oczekiwania. To jest dla mnie wciąż dojmujące doświadczenie. Reakcje zarówno regularnej publiczności, jak i krytyków oraz gremiów jurorskich są niesamowite. Można się uzależnić od tego katharsis widowni.

Co po „Złotych płytach”?

Drugi turnus festiwalowy z „Jak nie zabiłem...” i realizacja dla Teatru Telewizji. Latem 2023 r. napisałem książkę dla młodzieży (8–12 lat) „Sprawa świętego Jogurta”. To była świetna zabawa, czytałem swoim synom kawałek po kawałku, twierdzą, że to najlepsza książka na świecie (śmiech). Zapraszam do lektury za jakiś czas, książka ukaże się pewnie na początku 2025 r. Przygotowuję też wraz z PWM słuchowisko o Karolu Szymanowskim, którego muzykę uwielbiam. Czeka mnie również praca redakcyjna nad moją drugą książką prozatorską „Skóra po dziadku” – jej premiera już tej jesieni. Na koniec 2024 r. planuję komediowy spektakl w Łaźni Nowej. Najwyraźniej więc mój wewnętrzny superwizor chroni mnie przed popadnięciem w jakiś destrukcyjny ciąg twórczy. /©